

AUTOR POWIEŚCI **PRAWDA O SPRAWIE HARRY'EGO QUEBERTA**
NAGRODZONEJ GONCOURT DES LYCÉENS

JOËL DICKER



ZAGINIĘCIE STEPHANIE MAILER

ALBATROS

O tym, co wydarzyło się 30 lipca 1994 roku

O tym, co wydarzyło się trzydziestego lipca 1994 roku w Orphea, małym ekskluzywnym kurorcie nad oceanem, słyszeli tylko ludzie, którzy dobrze znali region Hamptons w stanie Nowy Jork. Tego wieczoru w Orphea rozpoczynał się pierwszy festiwal teatralny, i to wydarzenie o zasięgu ogólnokrajowym przyciągnęło wielu widzów. Pod koniec popołudnia turyści i miejscowa ludność zaczęli się gromadzić przy Main Street, aby uczestniczyć w licznych imprezach organizowanych przez ratusz. Obrzeża miasta, dzielnice willowe opustoszały do tego stopnia, że przypominały miasta widma: żadnych spacerowiczów na chodnikach, żadnych par na werandach, żadnych dzieci jeżdżących na rolkach po ulicy, ani jednej żywej duszy w ogródkach przed domami. Wszyscy byli na Main Street.

Około godziny dwudziestej w całkowicie opustoszałej dzielnicy Penfield jedynym śladem życia był samochód, który powoli przejeżdżał przez wyludnione ulice. Mężczyzna za kierownicą rozglądał się, skanując wzrokiem chodniki, i w jego oczach zaczęła się pojawiać panika. Nigdy dotąd nie czuł się tak samotny na świecie. Nie było nikogo, kto mógłby mu pomóc. Nie wiedział, co ma robić dalej. Rozpaczliwie szukał żony: wyszła na jogging i nie wróciła.

Samuel i Meghan Padalinowie znaleźli się wśród tych nielicznych mieszkańców, którzy w pierwszą noc festiwalu

postanowili zostać w domu. Nie udało im się zdobyć biletów na spektakl inauguracyjny – po szturmie na kasę wszystkie bilety wyprzedano bowiem na pniu – a nie mieli najmniejszej ochoty mieszać się z tłumem ani uczestniczyć w ludycznych rozrywkach proponowanych na Main Street i w marinie.

Pod koniec dnia, około godziny osiemnastej trzydzieści, Meghan wyruszyła na swój codzienny jogging. Poza niedzielą, dniem, w którym dawała swojemu ciału odrobinę wytchnienia, każdego wieczoru przebiegała zawsze tę samą trasę. Wychodziła z domu i biegła Penfield Street aż do Penfield Crescent, która tworzyła półokrąg tuż przy niewielkim parku. Zatrzymywała się w nim, aby wykonać kilka ćwiczeń na trawie – zawsze takich samych – a potem wracała do domu tą samą drogą. Cała runda zajmowała jej dokładnie trzy kwadranse. Czasami pięćdziesiąt minut, jeśli poświęciła trochę więcej czasu na ćwiczenia. Nigdy nie trwało to jednak dłużej.

O godzinie dziewiętnastej trzydzieści Samuel Padalin uznał za dziwne, że żona do tej pory nie wróciła.

O dziewiętnastej czterdzieści pięć zaczął się niepokoić.

O dwudziestej zaczął nerwowo chodzić po salonie.

O godzinie dwudziestej dziesięć, mocno zdenerwowany, w końcu wsiadł do samochodu, żeby sprawdzić okolicę. Wydawało mu się, że najbardziej logicznie będzie pojechać trasą, którą zazwyczaj biegła Meghan. I tak właśnie zrobił.

Wjechał najpierw w Penfield Street i dotarł do rozwidlenia przy Penfield Crescent. Była dwudziesta dwadzieścia. Nigdzie żywej duszy. Zatrzymał się na chwilę, by przeczesać wzrokiem park, ale nikogo nie zobaczył. I właśnie wtedy, w chwili gdy ponownie uruchomił silnik, ujrzał jakiś kształt na chodniku. Początkowo pomyślał, że to po prostu rzucone na stos ubrania, lecz po chwili zrozumiał, że widzi ciało. Z walącym w piersi sercem wyskoczył z samochodu. To była jego żona.

Na początku Samuel Padalin powiedział policji, że w pierwszej chwili sądził, że to zaślabinie z powodu upału. Obawiał się zawału serca. Ale kiedy podszedł do Meghan, zobaczył krew i otwór w tylnej części czaszki.

Zaczął krzyczeć, nie wiedząc, czy ma zostać przy żonie, czy powinien pobiec i dobijać się do drzwi domów, żeby ktoś zadzwonił po pomoc. Widział wszystko jak przez mgłę, czuł, że nogi się pod nim uginają. Jego krzyk w końcu zaalarmował mieszkańca jednego z pobliskich domów i ten powiadomił służby ratownicze.

Kilka minut później policja zablokowała całą dzielnicę.

Jeden z policjantów, którzy jako pierwsi przybyli na miejsce, żeby oddzielić taśmą miejsce zdarzenia, zauważył, że drzwi domu burmistrza miasta, niedaleko od miejsca, gdzie leżało ciało Meghan, są uchylone. Zaintrygowany tym, podszedł nieco bliżej. Zobaczył, że drzwi zostały wyważone. Wyciągnął broń, błyskawicznie wbiegł po schodkach na ganek i krzyknął, że wchodzi do środka. Żadnej odpowiedzi. Kopnął drzwi i zobaczył w przedpokoju zwłoki kobiety. Natychmiast wezwał posiłki, a zaraz potem powoli, z bronią w ręce, zaczął przesuwać się w głąb domu. Po prawej, w małym salonie, z przerażeniem odkrył ciało chłopca. Zaraz za salonem, w kuchni, na podłodze leżał zalany krwią burmistrz, także był martwy.

Zamordowano całą rodzinę.

JESSE ROSENBERG

*Poniedziałek, 23 czerwca 2014 roku
33 dni do XXI Narodowego Festiwalu Teatralnego w Orphea*

Pierwszy i ostatni raz spotkałem Stephanie Mailer, kiedy pojawiła się na skromnym przyjęciu wydanym w związku z moim odejściem z nowojorskiej policji.

Tego dnia, w samo południe, pod palącym słońcem zebrał się tłum policjantów z różnych wydziałów. Wszyscy zajęli miejsca naprzeciwko drewnianego podestu, który ustawiano na specjalne okazje na parkingu Regionalnego Centrum Policji Stanowej. Stałem na estradzie, tuż obok mojego przełożonego, majora McKenny, który prowadził mnie w ciągu całej mojej długiej kariery, a teraz składał mi serdeczne podziękowania.

„Jesse Rosenberg jest młodym kapitanem policji, ale najwyraźniej bardzo mu się śpieszy, żeby nas opuścić – powiedział major, czym wywołał wybuch śmiechu zgromadzonych. – Nigdy bym nie przypuszczał, że odejdziesz z policji przede mną. Ale w życiu tak już bywa: wszyscy marzą o tym, żebym odszedł, a ja wciąż tutaj jestem. Tymczasem wszyscy chcieliby zatrzymać Jessego, a on właśnie się z nami żegna”.

Skończyłem czterdzieści pięć lat i odchodziłem z policji pogodny i szczęśliwy. Po dwudziestu trzech latach służby postanowiłem przejść na emeryturę – do której miałem teraz prawo – aby wreszcie zrealizować projekt, na którym od wielu, wielu lat bardzo mi zależało. Pozostał mi jeszcze tydzień pracy, do trzydziestego czerwca. Potem w moim życiu miał się rozpocząć zupełnie nowy rozdział.

„Pamiętam pierwszą dużą sprawę Jessego – kontynuował major. – Przerażające poczwórne zabójstwo. Nikt z naszego wydziału nie wierzył, że uda mu się rozwikłać tę zagadkę, ale on zaskoczył nas błyskotliwym rozwiązaniem. Był jeszcze bardzo młodym detektywem. Od tego momentu wszyscy zrozumieli, że mają do czynienia z prawdziwym talentem. Wszyscy, którzy go poznali, wiedzą, że był znakomitym, nietuzinkowym śledczym. Myślę, że mogę powiedzieć o nim, że był wręcz najlepszym z nas. Nazwaliśmy go »stuprocentowym kapitanem«, za to właśnie, że udało mu się doprowadzić do końca wszystkie śledztwa, w których uczestniczył, a to prawdziwy ewenement. Podziwiają go koledzy, eksperci nie mogą się obejść bez jego opinii, był cenionym instruktorem w naszej akademii policyjnej. Pozwól, że wreszcie ci to powiem, Jesse: od dwudziestu lat wszyscy ci bardzo zazdrościmy!”

Goście znowu wybuchnęli śmiechem.

„Nie za bardzo zrozumieliśmy, na czym właściwie ma polegać ten nowy projekt, który na ciebie czeka, Jesse, ale życzymy ci powodzenia w tym przedsięwzięciu. Pamiętaj, że będzie nam ciebie brakowało, ale przede wszystkim będą za tobą tęsknić nasze kobiety, które na wszystkich organizowanych przez policję imprezach pożerały cię wzrokiem”.

Po tych słowach zakończenia rozległa się burza oklasków. Major serdecznie mnie wyściskał, a potem zszedłem ze sceny, aby podziękować tym wszystkim, którzy z sympatii do mnie przybyli na moje pożegnanie. Następnie zebrani ruszyli do szturmu na zastawione stoły.

Kiedy znalazłem się przez chwilę sam, podeszła do mnie bardzo ładna, mniej więcej trzydziestoletnia kobieta, której – o ile pamięć mnie nie myliła – nigdy wcześniej nie widziałem.

– A więc to pan jest tym słynnym stuprocentowym kapitanem? – zapytała mnie uwodzicielskim tonem.

– Tak mówią – odpowiedziałem jej z uśmiechem. – Czy my się znamy?

– Nie. Nazywam się Stephanie Mailer. Jestem dziennikarką i pracuję dla „Orpheia Chronicle”.

Wymieniliśmy uścisk dłoni.

– A czy bardzo będzie panu przeszkadzało, jeśli będę pana nazywać dziewięćdziesięciodziewięcioprocentowym kapitanem? – zapytała Stephanie.

To mnie zaskoczyło.

– Czy sugeruje pani, że nie rozwiązałem któregoś z prowadzonych przeze mnie śledztw? – podjąłem.

Zamiast odpowiedzi bez słowa wyciągnęła z torby kserokopię wycinka prasowego z „Orphea Chronicle” z pierwszego sierpnia 1994 roku i podała mi ją:

POCZWÓRNE ZABÓJSTWO W ORPHEA: BURMISTRZ I JEGO RODZINA ZAMORDOWANI

W sobotę wieczorem burmistrz Orphea, Joseph Gordon, jego żona oraz ich dziesięcioletni syn zostali zastrzeleni w swoim domu. Czwarta ofiara to trzydziestodwuletnia Meghan Padalin. Ta młoda kobieta, która w tym czasie uprawiała jogging, była najprawdopodobniej nieszczęśliwym świadkiem zamordowania rodziny. Została zastrzelona na ulicy przed domem burmistrza.

Obok artykułu zamieszczono wykonane na miejscu zbrodni zdjęcie. Byłem na nim wraz z moim ówczesnym partnerem z ekipy dochodzeniowej, Derekiem Scottem.

– Do czego pani zmierza? – zapytałem.

– Pan wcale nie rozwiązał wtedy tej sprawy, panie kapitanie.

– O co pani chodzi?

– W tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym czwartym roku pomylił się pan co do zabójcy. Pomyślałam, że chciałby się pan tego dowiedzieć, zanim odejdzie pan z policji.

W pierwszej chwili zacząłem się zastanawiać, czy to nie jakiś kiepski żart moich kolegów, ale zaraz potem zrozumiałem, że Stephanie mówi całkiem poważnie.

– Czy mam rozumieć, że pani prowadzi swoje prywatne śledztwo? – zapytałem.

– W pewnym sensie tak, panie kapitanie.

– W pewnym sensie? No cóż, jeśli chce pani, abym w to

uwierzył, będzie pani musiała powiedzieć mi coś więcej.

– Mówię prawdę, panie kapitanie. Mam za chwilę umówione spotkanie, po którym powinnam uzyskać niezbity dowód.

– Spotkanie z kim?

– Ależ, panie kapitanie – rzuciła rozbawionym tonem. – Nie jestem żółtodziobem. To jest właśnie taki dziennikarski *scoop*, którego żaden redaktor za nic nie chciałby stracić. Ale obiecuję podzielić się z panem moimi odkryciami, kiedy tylko nadejdzie odpowiednia chwila. Tymczasem mam do pana prośbę: chciałabym uzyskać dostęp do akt policji stanowej.

– Ta prośba brzmi bardziej jak szantaż! – odpowiedziałem. – Najpierw niech mi pani przedstawi wyniki swojego śledztwa, Stephanie. Bo stawia mi pani naprawdę bardzo poważne zarzuty.

– Wiem o tym doskonale, kapitanie Rosenberg. I właśnie dlatego nie chcę dać się wyprzedzić policji stanowej.

– Przypominam, że pani obowiązkiem jest podzielić się z policją wszystkimi będącymi w pani posiadaniu istotnymi informacjami. Takie jest prawo. Mógłbym także nakazać przeprowadzenie rewizji w pani gazecie.

Stephanie wydawała się mocno rozczarowana moją reakcją.

– No cóż, trudno, panie dziewięćdziesięciodziewięcioprocentowy kapitanie. Pomyślałam sobie: a kto wie, może będzie pan tym zainteresowany? Ale zapewne teraz myśli pan już wyłącznie o emeryturze i o tym tajemniczym nowym projekcie. I o cóż to niby chodzi? Będzie pan remontował jakąś starą łajbę?

– Nie pani sprawa – odparłem oschle.

Wzruszyła ramionami; wyglądało na to, że zaraz sobie pójdzie. Byłem pewien, że blefuje, i faktycznie, zaledwie po kilku krokach zatrzymała się i odwróciła.

– Odpowiedź miał pan przed oczami, kapitanie Rosenberg. Tyle że jej pan po prostu nie zauważył.

Byłem zarazem zaniepokojony i poirytowany.

– Nie jestem pewien, czy nadażam za panią, Stephanie... Podniosła rękę i umieściła ją na wysokości moich oczu.

– I co pan teraz widzi, panie kapitanie?

– Pani rękę.
– A ja panu pokazywałam palce – poprawiła go.
– Ale ja widzę pani rękę – powtórzyłem, nie rozumiejąc, o co jej chodzi.

– I na tym polega pana problem. Ujrzał pan to, co chciał pan zobaczyć, a nie to, co panu pokazano. I tego właśnie nie dostrzegł pan dwadzieścia lat temu.

To były jej ostatnie słowa. Odeszła, pozostawiając mnie z tajemnicą, swoją wizytówką i kserokopią artykułu prasowego.

Zauważyłem przy bufecie Dereka Scotta, byłego kolegę z ekipy, który teraz wegetował w administracji. Czym prędzej pośpieszyłem w jego stronę i pokazałem mu wycinek.

– Nic a nic się nie zmieniłeś, Jesse – powiedział z uśmiechem, patrząc na stare zdjęcie. – Czego chciała od ciebie ta dziewczyna?

– To dziennikarka. Według niej w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym czwartym roku popełniliśmy błąd. Mówi, że śledztwo poszło w niewłaściwym kierunku i że oskarżyliśmy niewłaściwą osobę.

– Co takiego? – Te słowa z trudem przeszły mi przez gardło. – Ale to przecież kompletnie bez sensu.

– Wiem o tym.

– Co dokładnie ci powiedziała?

– Że rozwiązanie zagadki mieliśmy przed oczami i że je przeoczyliśmy.

Derek był wyraźnie zakłopotany. On też wydawał się przejęty tą wiadomością, ale postanowił natychmiast odsunąć od siebie złe myśli.

– Wiesz co? Nie wierzę w tę historyjkę – wydusił wreszcie z siebie. – To tylko drugorzędna dziennikarka, która chce zaistnieć i tanim kosztem zrobić sobie reklamę.

– Może i tak – odpowiedziałem zamyślony. – A może nie.

Omiotłem wzrokiem parking i zobaczyłem, jak Stephanie wsiada do samochodu. Pomachała mi ręką i krzyknęła: „Do zobaczenia niebawem, kapitanie Rosenberg!”.

Ale żadne „niebawem” nie nastąpiło.

Był to bowiem dzień, w którym Stephanie zniknęła.

DEREK SCOTT

Pamiętam dokładnie dzień, w którym ta sprawa się rozpoczęła.

Była sobota, trzydziesty lipca 1994 roku.

Tego wieczoru razem z Jessem pełniliśmy służbę. Zatrzymaliśmy się na kolację w modnej wówczas restauracji Blue Lagoon, gdzie Darla i Natasha pracowały jako kelnerki.

Związek Jessego z Natashą trwał już kilka lat. Darla była jedną z jej najlepszych przyjaciółek. Zamierzały otworzyć razem restaurację i poświęcały temu projektowi całe dnie: znalazły odpowiednie miejsce i starały się uzyskać pozwolenia na przeprowadzenie prac budowlanych. A wieczorami i w weekendy pracowały jako kelnerki w Blue Lagoon, odkładając połowę zarobku na swoją przyszłą firmę.

W Blue Lagoon znacznie chętniej zajęłyby się zarządzaniem restauracją albo pracą w kuchni, ale właściciel knajpy powiedział im: „Z takimi ślicznymi buziami i zgrabnymi tyłeczkami wasze miejsce jest przy klientach na sali. I nie narzekajcie, bo zarobicie znacznie więcej na napiwkach, niż gdybyście pracowały w kuchni”. Akurat w tej kwestii miał rację: wielu klientów przychodziło do Blue Lagoon głównie po to, żeby to właśnie one ich obsługiwały. Były ładne, miłe i zawsze uśmiechnięte. Miały więc wszystkie możliwe zalety. Nie było najmniejszych wątpliwości, że ich restauracja odniesie w przyszłości spektakularny sukces, i wszyscy już o tym mówili.

Darla była wtedy sama. I muszę przyznać, że od chwili,

gdy ją poznałem, myślałem tylko o niej. Kiedy wiedziałem, że Natasha i ona pracują, nie dawałem Jessemu spokoju, dopóki nie poszedł ze mną do Blue Lagoon, żeby wypić z nimi kawę. A gdy spotykały się u Jessego, żeby pracować nad planem biznesowym restauracji, pojawiałem się niespodziewanie, żeby zrobić wrażenie na Darli i zwrócić na siebie jej uwagę, ale udawało mi się to tylko połowicznie.

Mniej więcej trzydzieści minut po dwudziestej wspomnianego już trzydziestego lipca Jesse i ja jedliśmy kolację, siedząc przy barze i przekomarzając się wesoło z Natashą i Darlą, które obsługiwały klientów, kręcąc się wciąż obok nas. Nasze pagery zabrzęczały równocześnie. Spojrzeliśmy na siebie zaniepokojeni.

– Jeśli wasze pagery dzwonią w tym samym czasie, to musi być naprawdę poważna sprawa – odezwała się Natasha.

Wskazała nam kabinę telefoniczną i drugi telefon na ladzie. Jesse poszedł do kabiny, ja ruszyłem do drugiego. Nasze rozmowy były nader zwięzłe.

– Mamy wezwanie, chodzi o poczwórne zabójstwo – wyjaśniłem Natashy i Darli, kiedy odłożyłem słuchawkę, po czym natychmiast skierowałem się do drzwi.

Jesse wkładał kurtkę.

– Pośpiesz się trochę – rzuciłem w jego stronę nerwowo.
– Pierwszej jednostce, która dotrze na miejsce, powierzę prowadzenie dochodzenia.

Byliśmy młodzi i ambitni. Mieliśmy okazję, aby po raz pierwszy wspólnie prowadzić ważne śledztwo. Jako policyjny detektyw miałem wtedy nieco większe doświadczenie niż Jesse i byłem już w stopniu sierżanta. Moi przełożeni bardzo mnie cenili. Wszyscy mówili, że zrobię karierę i będę świetnym gliniarzem.

Dobiegliśmy do samochodu i wskoczyliśmy do środka, ja na miejscu kierowcy, Jesse obok.

Ruszyłem z kopyta, a Jesse podniósł z podłogi koguta. Włączył go i przez otwarte okno umieścił na dachu naszego nieoznakowanego samochodu, rozświetlając noc czerwonym blaskiem.

W taki właśnie sposób wszystko się zaczęło.

JESSE ROSENBERG

Czwartek, 26 czerwca 2014 roku

30 dni do premiery

Jeszcze nie tak dawno temu wyobrażałem sobie, że mój ostatni tydzień w policji spędzę, spacerując po korytarzach, pijąc kawę i żegnając się z koleżankami i kolegami. Tymczasem od trzech dni siedziałem zamknięty w biurze od rana do nocy, wertując wyciągnięte z archiwum akta sprawy poczwórnego zabójstwa z 1994 roku. Rozmowa ze Stephanie Mailer wytrąciła mnie z równowagi; nie byłem w stanie myśleć o niczym innym, jak tylko o artykule i o tym, co mi wtedy powiedziała: „Odpowiedź miał pan przed oczami, kapitanie Rosenberg. Tyle że jej pan po prostu nie zauważył”.

Mnie jednak wydawało się, że uwzględniliśmy wszystko. Im bardziej zagłębiałem się w aktach sprawy, tym bardziej utwierdzałem się w przekonaniu, że jest to jedno z najrzetelniejszych dochodzeń, jakie przeprowadziłem w swojej karierze: wszystkie elementy pasowały, a dowody przeciwko mężczyźnie, którego wytypowaliśmy na zabójcę, wydawały się niepodważalne. Ja i Derek naprawdę pracowaliśmy nad tym nadzwyczaj skrupulatnie. Nie mogłem znaleźć najmniejszego choćby uchybienia. Jak więc moglibyśmy się pomylić i oskarżyć niewłaściwą osobę?

Tego samego popołudnia Derek wpadł do mojego biura.

– Co ty w ogóle wyczyniasz, Jesse? Wszyscy już czekają na ciebie w kafeterii. A dziewczyny z sekretariatu upiekły nawet ciasto.

– Już idę, Derek, przepraszam, ale myślami jestem trochę gdzie indziej.

Popatrzył na porozrzucane na biurku dokumenty, chwycił jeden z nich i krzyknął:

– No nie, tylko mi nie mów, że wierzysz w bzdury, które próbowała ci wcisnąć ta dziennikarka?!

– Derek, ja po prostu chciałem się tylko upewnić, że...

Ale nie pozwolił mi dokończyć.

– Jesse, wszystko w tej sprawie było jasne jak słońce. I wiesz o tym tak samo jak ja. No już, chodź, wszyscy na ciebie czekają.

Skinąłem głową.

– Daj mi dosłownie minutę. Zaraz do was dołączę.

Westchnął ciężko i wyszedł z mojego biura. Chwyciłem leżącą przede mną wizytówkę i zadzwoniłem na numer Stephanie. Jej telefon był wyłączony. Już wcześniej próbowałem się do niej dodzwonić, ale bezskutecznie. Ona nie kontaktowała się ze mną od czasu naszego poniedziałkowego spotkania, więc postanowiłem więcej nie nalegać. Doskonale wiedziała, gdzie mnie znaleźć. W końcu doszedłem do wniosku, że Derek ma jednak rację: nie było żadnego powodu, żeby podważać wyniki śledztwa z 1994 roku, więc z nieco spokojniejszą już głową dołączyłem do kolegów w kafeterii.

Kiedy jednak godzinę później wróciłem do swojego biura, zobaczyłem wysłany przez policję stanową w Riverdale w Hamptons faks, w którym informowano o zniknięciu młodej kobiety, Stephanie Mailer, trzydziestodwuletniej dziennikarki. Od poniedziałku nie było o niej żadnych wieści.

Od razu podskoczyło mi ciśnienie. Wyrwałem kartkę z faksu i rzuciłem się do telefonu, aby zadzwonić do komisariatu w Riverdale. Policjant, który podniósł słuchawkę, wyjaśnił mi, że rodzice Stephanie Mailer pojawili się u niego wczesnym popołudniem zaniepokojeni, że ich córka od poniedziałku nie dała znaku życia.

– Ale dlaczego jej rodzice skontaktowali się od razu z policją stanową zamiast z lokalną? – zapytałem.

– Owszem, zrobili to, tylko że lokalna policja najwyraźniej nie potraktowała tej sprawy poważnie. Pomyślałem więc, że lepiej będzie zgłosić to bezpośrednio do wydziału poważnych przestępstw.

– I dobrze pan zrobił. Zajmę się tym.

Matka Stephanie, do której natychmiast zadzwoniłem, powiedziała mi, że bardzo się o nią martwi. Jej ostatnia rozmowa z córką odbyła się w poniedziałek rano. Od tego czasu cisza. Jej telefon komórkowy był wyłączony. Żadna z przyjaciółek Stephanie również nie mogła się do niej dodzwonić. W końcu matka Stephanie udała się do mieszkania córki z kimś z miejscowej policji, ale nie było tam nikogo.

Natychmiast poszedłem zobaczyć się z Derekiem w jego biurze w dziale administracji.

– Stephanie Mailer – zwróciłem się do niego – ta dziennikarka, która była tu u nas w poniedziałek, zniknęła.

– Co ty gadasz, Jesse?

Pokazałem mu powiadomienie o jej zniknięciu.

– Sam widzisz – rzuciłem. – Trzeba jechać do Orphea. Musimy zobaczyć na miejscu, co tam się dzieje. To przecież nie może być zwykły zbieg okoliczności.

Derek westchnął.

– Jesse, a ty nie miałeś czasem odejść z policji na zasłużoną emeryturę?

– Dopiero za cztery dni. Na razie, jeszcze przez te cztery dni, jestem policjantem. W poniedziałek, kiedy ją zobaczyłem, powiedziała mi, że ma z kimś umówione spotkanie i że dzięki temu zdobędzie brakujące informacje...

– Lepiej przekaz tę sprawę któremuś z kolegów – podsunął mi rozwiązanie.

– Nie ma mowy! Derek, ta dziewczyna zapewniała mnie, że w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym czwartym...

Nie pozwolił mi skończyć zdania.

– Jesse, dochodzenie zostało zamknięte! To wszystko jest przeszłość! Co się z tobą dzieje? Po co chcesz do tego wracać, i to za wszelką cenę? Naprawdę masz ochotę przeżywać to jeszcze raz?

Dotarło do mnie, że nie mam żadnego wsparcia z jego strony, i poczułem gorycz.

– Więc rozumiem, że nie chcesz pojechać ze mną do Orphea?

– Nie. Przykro mi. I myślę, że kompletnie ci odbiło.

Tak więc pojechałem do Orphea sam, dwadzieścia lat po tym, jak byłem tam ostatni raz. Minęło już dwadzieścia lat od dnia, gdy popełniono tam poczwórne zabójstwo.

Trzeba było liczyć godzinę jazdy samochodem z Regionalnego Centrum Policji Stanowej, ale żeby zaoszczędzić na czasie, postanowiłem ominąć ograniczenia prędkości i wystawiłem migającego koguta. Pojechałem autostradą numer dwadzieścia siedem aż do rozwidlenia w kierunku Riverhead, a potem dwudziestkąpiątką na północny zachód.

Na ostatnim odcinku mogłem podziwiać wspaniałą przyrodę – bujny las i stawy pokryte nenufarami. Wkrótce dotarłem do drogi numer siedemnaście, prostej i całkiem pustej, która prowadziła do Orphea i po której mknąłem jak strzała. Już po chwili ogromny znak drogowy obwieścił, że dotarłem na miejsce.

WITAMY W ORPHEA W STANIE NOWY JORK

Narodowy Festiwal Teatralny, 26 lipca – 9 sierpnia

Była godzina siedemnasta. Wjechałem na Main Street, barwną i pełną zieleni. Mijałem restauracje, kawiarniane ogródki i sklepy. Atmosfera wydawała się spokojna i wakacyjna. W związku ze zbliżającym się Dniem Niepodległości na latarniach ulicznych zawieszono gwiaździste sztandary, a napisy na transparentach zapowiadały pokaz sztucznych ogni z okazji Czwartego Lipca. Wzdłuż mariny, której obrzeża ozdobiono rabatami kwiatów i starannie pielęgnowanymi klombami, spacerowicze snuli się między budkami, których właściciele oferowali bilety na taras widokowy, skąd można było obserwować wieloryby, albo proponowali wynajęcie roweru. Miasteczko wydawało się niby żywcem wyjęte z planu filmowego.

Najpierw zatrzymałem się na miejscowej komendzie policji.

Komendant Ron Gulliver przyjął mnie w swoim biurze. Nie musiałem mu przypominać, że spotkaliśmy się już dwadzieścia lat wcześniej, doskonale mnie pamiętał.

– Nic a nic się pan nie zmienił – przywitał mnie, ściskając mi rękę.

Ja natomiast nie mogłbym powiedzieć o nim tego samego. Nieładnie się postarzał i wyraźnie przytył. Chociaż nie był to czas na lunch i jeszcze daleko było do kolacji, zachłannie pałaszował spaghetti z plastikowego pojemnika. W czasie, kiedy tłumaczyłem mu powody mojej wizyty, zdążył w doprawdy odrażający sposób pochłonąć połowę porcji.

– Stephanie Mailer? – zapytał zdziwiony z pełnymi ustami. – Zajęliśmy się już tą sprawą. To nie jest żadne zniknięcie. Wyjaśniałem to jej rodzicom. Potwornie upierdliwi. Jezu słodki, co z nich za ludzie, wychodzą drzwiami i już po chwili ładują się z powrotem przez okno!

– A może są to po prostu rodzice, którzy martwią się o córkę – zwróciłem mu uwagę. – Nie mieli od niej żadnej wiadomości od trzech dni i mówią, że to zupełnie nie w jej stylu. Rozumie więc pan, że chcę się tym zająć z należytą starannością.

– Stephanie Mailer ma trzydzieści dwa lata i chyba może robić, co chce, prawda? Niech mi pan wierzy, gdybym miał takich rodziców jak ona, też chciałbym uciec, kapitanie Rosenberg. Może pan być spokojny, Stephanie po prostu postanowiła się urwać, przynajmniej na chwilę.

– Ale skąd może pan mieć pewność?

– To jej szef, redaktor naczelny „Orphea Chronicle”, mi o tym powiedział. Wysłała mu wiadomość w poniedziałek wieczorem.

– A więc w wieczór, kiedy zniknęła – zauważyłem.

– Ile razy mam panu powtarzać, że ona wcale nie zniknęła? – zapytał poirytowany już lekko Gulliver.

Każdemu z wypowiedzianych przez niego słów towarzyszył pokaz sztucznych ogni *al pomodoro*. Zrobiłem krok do tyłu, aby wylatujące pociski nie wylądowały przypadkiem na mojej nieskazitelnie czystej koszuli. Gulliver przełknął spaghetti i kontynuował swój wywód:

– Mój zastępca był z rodzicami Stephanie w jej mieszkaniu. Drzwi otwarto zapasowym kluczem i mój człowiek widział, jak to wyglądało: wszystko było w porządku. Wiadomość odebrana przez jej szefa z redakcji potwierdziła, że nie ma

najmniejszych powodów do obaw. Stephanie nie musi się przed nikim spowiadać. A to, co robi ze swoim życiem, to kompletnie nie nasza broszka. W każdym razie wykonaliśmy naszą pracę tak, jak należało. Więc bardzo proszę, niech mi pan nie zawraca głowy całą tą sprawą.

– Rodzice są mocno zaniepokojeni – nalegałem. – I jeśli można, oczywiście za pana zgodą, bardzo chętnie sprawdziłbym osobiście, czy wszystko jest w porządku.

– Jasne, jeśli ma pan za dużo czasu, panie kapitanie, proszę się nie krępować i w ogóle mną nie przejmować. Wystarczy, że pan zaczeka, aż mój zastępca, Jasper Montagne, wróci z patrolu. To on się tym wszystkim zajmował.

Starszy sierżant Jasper Montagne wreszcie przybył, a ja stanąłem w obliczu giganta z wyraźnie odznaczającą się pod ubraniem muskulaturą i niesamowicie groźnym wyglądem. Wyjaśnił mi pokrótce, że towarzyszył państwu Mailerom, kiedy udali się do mieszkania Stephanie. Weszli do środka razem i nikogo tam nie było. Nie zauważyli również niczego niezwykłego. Żadnych śladów walki. Potem Montagne sprawdził okoliczne uliczki w poszukiwaniu samochodu Stephanie, bez skutku. Gorliwość pchnęła go nawet do telefonu; obdzwonił szpitale i posterunki policji w regionie: nic. Stephanie Mailer po prostu gdzieś wyjechała.

Ponieważ chciałem mimo wszystko rzucić okiem na jej mieszkanie, sierżant zaproponował, że pojedzie ze mną. Mieszkała przy Bendham Road, przy małej, spokojnej uliczce niedaleko Main Street, w wąskim trzypoziomowym budynku. Na parterze mieścił się sklep z narzędziami, mieszkanie na pierwszym piętrze było wynajęte, to na drugim zajmowała Stephanie.

Długo dzwoniłem do drzwi. Potem waliłem pięścią, krzyczałem, wszystko na próżno: najwyraźniej nikogo nie było.

– Chyba pan widzi, że jej nie ma – powiedział Montagne.

Nacisnąłem klamkę, ale drzwi były zamknięte na klucz.

– Można się jakoś dostać do środka? – zapytałem go.

– A klucz pan ma?

– Nie.

– Ja też nie. Tamtego dnia otworzyli jej rodzice.
– Więc nie dostaniemy się do środka?
– Nie. Nie będziemy się teraz bawić w wyważanie czyichś drzwi bez kompletnie żadnego powodu! Jeśli koniecznie chce pan mieć całkowitą pewność, niech pan idzie do lokalnej gazety i porozmawia z redaktorem naczelnym, a on pokaże panu tę wiadomość, którą otrzymał od Stephanie w poniedziałek wieczorem.

– A sąsiad na dole? – zapytałem.

– Brad Melshaw? Przesłuchałem go wczoraj, niczego nie widział ani niczego szczególnego nie słyszał. Nie ma w ogóle sensu do niego dzwonić: jest kucharzem w Café Athena, takiej modnej restauracji na początku Main Street, i teraz tam jest.

Nie dałem się jednak przekonać; zszedłem mimo wszystko piętro niżej i zadzwoniłem do drzwi Brada Melshawa. Na próżno.

– Przecież panu mówiłem. – Montagne westchnął, schodząc, podczas gdy ja przystanąłem jeszcze na półpiętrze w nadziei, że jednak ktoś mi otworzy.

Kiedy wreszcie i ja zdecydowałem się zejść, Montagne już wyszedł z budynku. Gdy dotarłem do holu, skorzystałem z jego nieobecności, aby sprawdzić skrzynkę pocztową Stephanie. Przez szczelinę dostrzegłem, że w środku znajduje się list. Udało mi się uchwycić go koniuszkami palców. Złożyłem go szybko na pół i schowałem dyskretnie w tylnej kieszeni spodni.

Po wizycie w budynku, gdzie mieszkała Stephanie, Montagne zawiózł mnie do redakcji „Orpheus Chronicle”, która znajdowała się dosłownie rzut kamieniem od Main Street, żebym mógł porozmawiać z Michaeliem Birdem, redaktorem naczelnym.

Redakcja mieściła się w budynku z czerwonej cegły. O ile fasada prezentowała się całkiem nieźle, o tyle wewnątrz było mocno sfatygowane.

Naczelny przyjął nas w swoim gabinecie. Jak się okazało, był już w Orpheus w 1994 roku, chociaż nie przypominałem sobie, żebym go wtedy spotkał. Bird wyjaśnił mi, że w wyniku splotu różnych okoliczności powierzono mu

kierowanie „Orphea Chronicle” dokładnie trzy dni po tamtym poczwórnym zabójstwie i że wtedy większość czasu spędził z nosem w papierach, a nie w terenie.

– Od jak dawna Stephanie Mailer pracuje u pana? – zapytałem.

– Jakies dziewięć miesięcy. Przyjąłem ją we wrześniu tego roku.

– Jest dobrą dziennikarką?

– Nawet bardzo. Dzięki niej poziom gazety znacznie się polepszył. A to dla nas ważne, ponieważ trudno o wysokiej jakości materiał. Wie pan, gazeta ma się bardzo kiepsko finansowo... właściwie działamy tylko dlatego, że miasto udostępnia nam redakcyjne pomieszczenia za darmo. Ludzie już nie czytają prasy, reklamodawcy też nie są zainteresowani. Wcześniej byliśmy liczącą się gazetą regionalną, czytaną i szanowaną. Dzisiaj po co ktoś miałby kupować „Orphea Chronicle”, skoro można przeczytać „New York Timesa” online? I nawet nie chce mi się mówić o tych, którzy w ogóle nic nie czytają, bo wystarczą im wiadomości z Facebooka.

– Kiedy widział pan Stephanie po raz ostatni? – zapytałem go.

– W poniedziałek rano. Na cotygodniowym kolegium redakcyjnym.

– I nie zauważył pan czegoś szczególnego? Może było coś nietypowego w jej zachowaniu?

– Nie, niczego wyjątkowego. Wiem, że rodzice Stephanie się niepokoją, ale tak jak im już tłumaczyłem i jak mówiłem tutejszemu zastępcy komendanta, Montagne’owi, Stephanie w poniedziałek późnym wieczorem wysłała mi esemesa, aby mi przekazać, że przez jakiś czas nie przyjdzie do pracy.

Wyjął z kieszeni telefon komórkowy i pokazał mi wiadomość otrzymaną o dwunastej w nocy z poniedziałku na wtorek:

Muszę wyjechać na jakiś czas z Orphea. To ważne.

Później ci wyjaśnię.

– I potem, od czasu tego esemesa, nie miał już pan od niej żadnych wiadomości? – zapytałem.

– Nie. Ale szczerze mówiąc, wcale się tym nie martwię. Stephanie jest bardzo niezależna jako dziennikarka. Pracuje nad materiałem we własnym rytmie. A ja nie wtrącam się zaledwie w to, co robi.

– Nad czym teraz pracuje?

– Nad festiwalem teatralnym. Każdego roku pod koniec lipca mamy w Orpheu ważny festiwal teatralny...

– Tak, słyszałem o tym.

– No więc Stephanie chciała opowiedzieć o festiwalu niejako od wewnątrz. Przygotowuje cykl artykułów na ten temat. Miała rozmawiać z wolontariuszami, dzięki którym z roku na rok w ogóle możliwe jest zorganizowanie tego wydarzenia.

– Ale czy to zachowanie jest w jej stylu, takie właśnie nagłe zniknięcie? – dopytywałem.

– Użyłbym raczej słowa „nieobecność” – powiedział Michael Bird. – Tak, często jej nie ma w redakcji. Wie pan chyba, że praca dziennikarza wymaga, żeby być w terenie.

– Czy Stephanie mówiła panu może o jakimś ważnym dochodzeniu, które prowadzi? – próbowałem wyciągnąć od niego coś więcej. – Powiedziała mi, że ma umówione w tej sprawie jakieś ważne spotkanie w poniedziałek wieczorem...

Świadomie mówiłem dość mętnie, nie chciałem podawać zbyt wielu szczegółów. Ale Michael Bird tylko pokręcił głową.

– Nie – odparł. – O niczym takim nigdy mi nie mówiła.

Po wyjściu z redakcji Montagne, który nadal uważał, że nie ma się czym niepokoić, starał się nakłonić mnie do opuszczenia miasta.

– Komendant Gulliver chciałby wiedzieć, czy teraz zamierza pan już wreszcie wyjechać z naszego miasta.

– Tak – odpowiedziałem. – Myślę, że zrobiłem wszystko, co mogłem.

Kiedy wsiadłem do samochodu, od razu otworzyłem kopertę, którą znalazłem w skrzynce pocztowej Stephanie. Był to wyciąg z karty kredytowej. Przyjrzałem się uważnie wydrukowi.

Poza bieżącymi wydatkami związanymi z codziennym życiem (gaz, zakupy w supermarkecie, kilka razy wypłacała pieniądze z bankomatu, zakupy w księgarni w Orphea) zauważyłem również liczne opłaty drogowe za wjazd na Manhattan; Stephanie ostatnimi czasy regularnie jeździła do Nowego Jorku. Ale przede wszystkim kupiła bilet lotniczy do Los Angeles: przelot w obie strony, dziesiątego i trzynastego czerwca.

Kilka wydatków tam na miejscu, w tym hotel – wszystko to potwierdzało, że rzeczywiście odbyła tę podróż. Może miała chłopaka w Kalifornii? W każdym razie ta młoda kobieta dużo podróżowała. Nie było też nic dziwnego w jej nieobecności w pracy. Doskonale rozumiałem lokalną policję; nie było żadnych dowodów, które potwierdzałyby tezę o jej zaginięciu. Stephanie była pełnoletnia, mogła robić, co chciała, bez spowiadania się z tego komukolwiek.

Nie mając żadnych innych informacji, chciałem już właściwie zrezygnować z dalszego dochodzenia, gdy nagle przyciągnął moją uwagę pewien szczegół. Coś było nie tak: chodziło o redakcję „Orphea Chronicle”. Wygląd tego miejsca kompletnie nie pasował do mojego wyobrażenia o Stephanie. Owszem, nie zdążyłem jej poznać dokładnie, ale sposób, w jaki rzuciła mi wyzwanie trzy dni wcześniej, sprawił, że widziałem ją bardziej jako redaktorkę „New York Timesa” niż lokalnej gazety w małym nadmorskim miasteczku w Hamptons. Właśnie ten drobny szczegół skłonił mnie do tego, by poszukać nieco głębiej. Postanowiłem odwiedzić rodziców Stephanie, którzy mieszkali w Sag Harbor, dwadzieścia minut drogi od centrum.

Była godzina dziewiętnasta.



W tym samym czasie przy Main Street w Orphea Anna Kanner parkowała samochód przed Café Athena, gdzie umówiła się na kolację z Lauren, przyjaciółką z czasów dzieciństwa, i jej mężem Paulem.

Lauren i Paul byli tymi spośród jej przyjaciół, których

widywała najczęściej od czasu, gdy wyjechała z Nowego Jorku i zamieszkała w Orpheu. Rodzice Paula mieli w Southampton oddalony o jakieś dwadzieścia pięć kilometrów od Orpheu dom letniskowy, do którego regularnie przyjeżdżali, aby spędzać tam długie weekendy. Opuszczali wtedy Manhattan już w czwartek, żeby nie stać w korkach.

Kiedy Anna zamierzała wysiąść z samochodu, ujrzała Lauren i Paula, siedzących przy stole na tarasie restauracji, ale przede wszystkim zauważyła, że towarzyszy im jakiś mężczyzna. Zrozumiała od razu, o co w tym wszystkim chodzi, i zadzwoniła do przyjaciółki.

– Co to ma znaczyć, czyżbyś znowu zorganizowała mi randkę? – zapytała, jak tylko Lauren odebrała.

Zapanowała chwila niezręcznej ciszy.

– Może i tak – odezwała się w końcu Lauren. – Skąd o tym wiesz?

– Instynkt mi to podpowiada – skłamała Anna. – Dlaczego mi to robisz?

Jedyną rzeczą, jaką Anna mogła zarzucić przyjaciółce, było to, że poświęca zdecydowanie za dużo czasu na wtrącanie się w jej sprawy uczuciowe i co chwila podsuwa jej jakichś niewydarzonych gości.

– Ten ci się na pewno spodoba – zapewniła ją Lauren, kiedy odeszła parę kroków od stołu, aby mężczyzna, który był z nimi, nie słyszał ich rozmowy. – Naprawdę, zaufaj mi, Anno.

– Wiesz co, Lauren? Właściwie to dzisiejsze spotkanie nie bardzo mi pasuje. Wciąż jeszcze siedzę w biurze i mam całe mnóstwo papierkowej roboty do zrobienia.

Widok Lauren miotającej się po ogródku w restauracji rozbawił ją.

– Anna, zabraniam ci robić takie uniki! Masz trzydzieści trzy lata i potrzebujesz faceta! Kiedy ostatnio byłeś z kimś w łóżku? No, kiedy, co?

To był jeden z tych argumentów, których Lauren używała w ostateczności. Tym razem jednak Anna naprawdę nie była w nastroju na zaaranżowaną przez przyjaciółkę randkę.

– Przykro mi, Lauren. A poza tym mam dzisiaj dyżur...

– O rany, nie wyjeżdżaj mi znowu z tymi twoimi dyżurami!

W tym mieście nic nigdy się nie dzieje. Ty też masz chyba prawo się zabawić?

W tym samym momencie jakiś kierowca nacisnął klakson i Lauren usłyszała sygnał zarówno na ulicy, jak i przez telefon.

– Ach, więc to tak? No, moja miła, wydało się! – krzyknęła, rozglądając się. – To gdzie jesteś?

Anna nie miała czasu zareagować.

– Widzę cię! – krzyknęła Lauren. – I co, myślisz, że uda ci się z tego wymigać i olać mnie teraz kompletnie? Czy ty zdajesz sobie sprawę, że większość wieczorów spędzasz sama, jak jakaś babuleńka? Wiesz co? Zastanawiam się, czy dokonałaś właściwego wyboru, żeby się tutaj zaszyć i zakopać...

– Litości, Lauren, zmiłuj się! Zupełnie jakbym słyszała swojego ojca!

– Ale jeśli dalej tak będzie, to w końcu zostaniesz do końca życia całkiem sama!

Anna roześmiała się i wysiadła z samochodu. Gdyby dostawała monetę za każdym razem, kiedy coś takiego słyszała, pływałaby dziś w basenie wypełnionym pieniędzmi. Była jednak zmuszona przyznać, że Lauren miała trochę racji: przecież dopiero co się rozwiodła, nie miała dzieci, a w Orphea była zupełnie sama.

Według Lauren kolejne niepowodzenia miłosne Anny miały dwie przyczyny: z jednej strony wynikały z braku chęci, a z drugiej – z wykonywanej przez nią pracy, która „przerażała mężczyzn”. „Nigdy nie mów im na wstępie, czym się zajmujesz i gdzie pracujesz – przekonywała ją wielokrotnie Lauren, gdy rozmawiały o zorganizowanych dla niej randkach. – Myślę, że to ich onieśmiela”.

Anna weszła na taras restauracji. Tego dnia kandydat miał na imię Josh. I miał również to obmierzłe spojrzenie faceta, który jest szalenie pewny siebie. Pozdrowił Annę, w zenujący sposób pożerając ją wzrokiem i zionąc nie najświeższym oddechem. Od razu wiedziała, że to na pewno nie jest wieczór spotkania z wymarzoną księżniczką z bajki.



– Jesteśmy bardzo zaniepokojeni, kapitanie – powiedzieli

jednym głosem Trudy i Dennis Mailerowie, rodzice Stephanie, w salonie ich uroczego domu w Sag Harbor.

– Zadzwoiłam do Stephanie w poniedziałek rano – wyjaśniła Trudy Mailer. – Powiedziała mi, że jest na spotkaniu redakcyjnym w gazecie i że oddzwoni. Nie zrobiła tego.

– A zawsze oddzwania – zapewnił mnie Dennis Mailer.

Od razu pojąłem, dlaczego Mailerowie tak bardzo denerwowali policję. Z nimi wszystko nabierało dramatycznego wymiaru, nawet kawa, której odmówiłem, kiedy się u nich zjawiłem.

– Jak to, nie lubi pan kawy? – zapytała zrozpaczonym głosem Trudy Mailer.

– A może wolałby pan herbatę? – podchwycił jej mąż.

Kiedy wreszcie udało mi się skierować ich uwagę na właściwe tory, zadałem im kilka podstawowych pytań. Czy Stephanie miała jakieś problemy? Nie, stwierdzili kategorycznie. Czy brała narkotyki? Nie, skądże. Czy miała narzeczonego? Może chłopaka? O ile im wiadomo, to nie. Czy był jakiś powód, żeby tak nagle zniknęła? Najmniejszego.

Państwo Mailerowie zapewnili mnie, że ich córka nie jest osobą, która ukrywałaby przed nimi cokolwiek. Szybko jednak zorientowałem się, że nie do końca tak to wyglądało.

– Dlaczego poleciała do Los Angeles dwa tygodnie temu? – zapytałem.

– Do Los Angeles? – zdziwiła się jej matka. – Co pan chce przez to powiedzieć?

– Dwa tygodnie temu Stephanie poleciała na trzy dni do Kalifornii.

– Nie wiedzieliśmy o tym – odparł ze smutkiem ojciec. – To niepodobne do niej, żeby tak sobie polecieć do Los Angeles, nie mówiąc nam o tym. A może to było jakoś związane z gazetą? Ona zawsze jest dosyć dyskretna, jeśli chodzi o tematy i artykuły, nad którymi pracuje.

Wątpiłem, aby gazeta taka jak „Orpheus Chronicle” mogła sobie pozwolić na wysłanie swoich dziennikarzy na drugi koniec kraju w celu zrobienia reportażu. I właśnie to, czym dokładnie się zajmowała w gazecie, stanowiło dla mnie znak zapytania.

– Kiedy i w jakich okolicznościach Stephanie przyjechała do Orphea? – zapytałem.

– Przez kilka ostatnich lat mieszkała w Nowym Jorku – wyjaśniła mi Trudy Mailer. – Studiowała najpierw literaturę na Uniwersytecie Notre Dame. Już jako mała dziewczynka chciała zostać pisarką. Opublikowała nawet swoje opowiadania, w tym dwa w „New Yorkerze”. Po ukończeniu studiów pracowała w „New York Letters Review”, ale zwolnili ją stamtąd we wrześniu.

– Z jakiego powodu?

– Zdaje się, że chodziło o jakieś problemy finansowe firmy. Sprawy szybko się wtedy potoczyły: Stephanie znalazła pracę w „Orphea Chronicle” i postanowiła wrócić w te strony. Wydawała się zadowolona, że wyniosła się z Manhattanu i że znalazła spokojniejsze dla siebie otoczenie.

Pojawił się moment zawahania. Po czym ojciec Stephanie powiedział:

– Kapitanie Rosenberg, nie jesteśmy ludźmi, którzy zawracaliby głowę policji z byle powodu, proszę mi wierzyć. Nie powiadamialibyśmy nikogo, gdybyśmy, moja żona i ja, nie byli przekonani, że dzieje się coś niepokojącego. Policjanci w Orphea tłumaczyli nam, że nie mają właściwie żadnych przesłanek, by podejrzewać, że stało się coś złego. Ale nawet wtedy, gdy córka tylko na jeden dzień jeździła do Nowego Jorku, zawsze wysyłała nam wiadomość, dzwoniła do nas zaraz po powrocie, żeby powiedzieć, że wszystko u niej w porządku. Dlaczego wysyłała wiadomość do swojego redaktora naczelnego, a nie do nas, do rodziców? Gdyby nie chciała, byśmy się martwili, wysłałaby esemesa także do nas.

– A jeśli chodzi o Nowy Jork – podchwyciłem ten wątek – dlaczego tak często odwiedza Manhattan?

– Nie twierdziłem, że często tam jeździ – odparł ojciec. – Podałem to tylko jako przykład.

– Nie, ona tam bywa naprawdę często – powiedziałem. – Co więcej, zdarzało się, że pojawiała się tam w te same dni tygodnia i dokładnie o tej samej porze. Tak jakby regularnie się tam z kimś spotykała. Co może tam robić?

I znowu wydawało się, że Mailerowie nie mają pojęcia, o

czym mówię. Trudy, która najwyraźniej zdała sobie sprawę, że nie jest w stanie przekonać mnie, że sytuacja jest poważna, zapytała:

- Czy był pan u niej w domu, kapitanie Rosenberg?
- Nie, chciałem się dostać do jej mieszkania, ale drzwi były zamknięte, a nie miałem klucza.
- A czy chciałby pan może teraz rzucić na nie okiem? Może zobaczy pan coś, czego my nie zauważyliśmy.

Zgodziłem się, ale po to tylko, żeby zamknąć wreszcie tę sprawę. Szybka wizyta w domu Stephanie powinna mnie przekonać, że policja w Orpheia miała rację i że nie ma nic, co mogłoby wskazywać na jej niepokojące zniknięcie. Stephanie mogła udać się do Los Angeles lub Nowego Jorku, kiedy tylko chciała. A jeśli chodzi o jej pracę w „Orpheia Chronicle”, można było sobie doskonale wyobrazić, że po tym, jak ją zwolnili z poprzedniej redakcji, skorzystała z pierwszej okazji, która się nadarzyła, by bezpiecznie poczekać, aż pojawi się perspektywa czegoś znacznie ciekawszego.

Była punktualnie godzina dwudziesta, kiedy pojawiliśmy się w budynku przy Bendham Road. Weszliśmy wszyscy troje po schodach i zatrzymaliśmy się przed mieszkaniem Stephanie. Trudy Mailer podała mi klucz, ale kiedy przekręcałem go w zamku, natrafiłem na opór. Drzwi nie były zamknięte na klucz. Poczułem silny przypływ adrenaliny: w środku ktoś był. Czy to Stephanie?

Delikatnie nacisnąłem klamkę i drzwi lekko się uchyliły. Dałem znać jej rodzicom, żeby zachowywali się cicho. Delikatnie popchnąłem drzwi i otworzyły się bezszelestnie. Natychmiast zobaczyłem bałagan w salonie: ktoś tu był, żeby przeszukać to miejsce.

– Zejdźcie na dół – szepnąłem do Mailerów. – Wracajcie do samochodu i czekajcie, aż do was przyjdę.

Dennis skinął tylko głową i pociągnął za sobą żonę. Wyjąłem broń i zrobiłem kilka kroków w głąb mieszkania. Wszystko było wywalone do góry nogami. Zacząłem od sprawdzenia salonu: szafki przewracano, a poduszki na kanapie rozpruto.

Moją uwagę przyciągnęły przedmioty leżące na podłodze i nie zauważyłem, że ktoś zbliża się do mnie po cichu. Dopiero kiedy się odwróciłem, żeby zajrzeć do pozostałych pomieszczeń, stanąłem nagle oko w oko z cieniem, który prysnął mi prosto w twarz gazem łzawiącym. Oczy potwornie szczypały, nie mogłem złapać oddechu. Zgiąłem się wpół, całkiem oślepiiony. I wtedy otrzymałem potężny cios.

W jednej chwili spowiła mnie ciemność.



Godzina 20.05, Café Athena.

Podobno, tak przynajmniej twierdzą niektórzy, miłość zawsze pojawia się niespodziewanie, ale tego wieczoru nie było najmniejszych wątpliwości, że miłość postanowiła zostać w domu, skazując Annę na tę okropną kolację. Josh mówił bez przerwy już od ponad godziny. Jego monolog był doprawdy czymś zupełnie niespotykanym. Anna, która po jakimś czasie przestała go w ogóle słuchać, bawiła się, licząc wszystkie „ja” i „mnie”, które wypełzały z jego ust niczym małe karaluchy i z każdym kolejnym słowem wzbudzały w niej coraz większe obrzydzenie. Lauren, która nie wiedziała, co ze sobą zrobić, była już przy piątym kieliszku białego wina, podczas gdy Anna popijała kolejny bezalkoholowy koktajl.

W końcu jednak, zapewne skrajnie wyczerpany własnymi słowami, Josh złapał szklankę wody i wlał ją w siebie jednym haustem, co sprawiło, że na chwilę się zamknął. Po tej jakże kojącej chwili ciszy zwrócił się do Anny i zapytał wymuszonym tonem: „A ty czym właściwie się zajmujesz? Lauren nie chciała mi nic powiedzieć”. W tym samym momencie zadzwonił telefon Anny. Zobaczyła numer na wyświetlaczu i od razu zrozumiała, że chodzi o pilne wezwanie z pracy.

– Przykro mi – przeprasza – ale muszę odebrać.

Wstała od stołu, zrobiła kilka kroków, po czym szybko wróciła, by obwieścić, że niestety musi ich zostawić.

– Już idziesz? – odezwał się Josh wyraźnie rozczarowany.

– Nie mieliśmy nawet czasu, żeby się poznać.

– Wiem o tobie chyba już wszystko. To było... porywające.

Ucałowała Lauren i jej męża, pożegnała się z Joshem gestem dłoni, który nie mógł oznaczać niczego innego jak „Oby nigdy więcej”, i szybko opuściła ogródek restauracji. Musiała najwyraźniej wpaść Joshowi w oko, ponieważ wstał i ruszył za nią, aby jej towarzyszyć. Dopadł ją już na chodniku.

– Może chcesz, żebym cię gdzieś podwiózł? – zapytał. – Mam...

– Mercedesa coupé – przerwała mu. – Wiem, wspomniałeś o tym co najmniej dwa razy. To miło z twojej strony, ale zaparkowałam tuż obok.

Otworzyła bagażnik swojego samochodu, podczas gdy Josh stał wciąż tuż za nią.

– Poproszę Lauren o twój numer telefonu – nie poddawał się. – Często bywam w tej okolicy, może umówimy się na kawę?

– Świetnie – odpowiedziała, żeby sobie już poszedł, i otworzyła wielką płócienną torbę, która wypełniała niemal cały bagażnik.

– Ale właściwie wciąż mi nie powiedziałaś, czym się zajmujesz.

W chwili gdy kończył zdanie, wyciągnęła z torby kamizelkę kuloodporną i włożyła ją. Kiedy dopasowywała zapęczenia wokół ciała, zobaczyła, że oczy Josha robią się wielkie jak koła młyńskie i wpatruje się w naklejkę z dużym odbłaskowym napisem:

POLICJA

– Jestem zastępczynią komendanta policji w Orphea – powiedziała, wkładając broń do kabury przy pasku.

Oszołomiony Josh z niedowierzaniem wlepił w nią wzrok. Ona tymczasem wsiadła do samochodu i ruszyła z rykiem silnika, sprawiając, że niebieskie i czerwone błyski migających świateł koguta przymocowanego w górnej części przedniej szyby rozświetliły wieczorny zmierzch, po czym włączyła syrenę, ściągając na siebie uwagę wszystkich przechodniów.

Z informacji przekazanej jej przez centralę wynikało, że zaatakowano funkcjonariusza policji w znajdującym się w

pobliżu budynku. Wszystkie dostępne patrole oraz oficer dyżurny zostali wezwani na miejsce zdarzenia.

Na pełnej prędkości przejechała Main Street; piesi przechodzący przez jezdnię cofali się, aby znaleźć schronienie na chodnikach, a na obu pasach ruchu samochody zjeżdżały na bok. Jechała środkiem drogi, dociskając pedał gazu. Doświadczenie w nagłych interwencjach w godzinach szczytu zdobyła jeszcze w Nowym Jorku.

Kiedy dojechała przed budynek, na miejscu był już radiowóz. Gdy weszła do holu, natknęła się na jednego z kolegów, który zbiegał po schodach.

– Podejrzany ucieka tylnym wyjściem z budynku! – krzyknął.

Anna przemknęła przez cały parter, dobiegła do wyjścia awaryjnego na tyłach budynku, skąd było widać pustą uliczkę. Panowała dziwna cisza; nadstawiła ucha, szukając jakiegoś dźwięku, który mógłby ją naprowadzić na trop, po czym znowu zaczęła biec. Dotarła do małego opustoszałego parku, gdzie panowała całkowita cisza.

Nagle wydało się jej, że usłyszała jakieś odgłosy w krzakach; wyciągnęła broń z kabury i weszła głębiej do parku. Nic. W pewnym momencie odniosła wrażenie, że widzi biegnący cień. Popędziła za nim, ale szybko zgubiła ślad. W końcu zatrzymała się zdeorientowana i bez tchu. Krew mocno pulsowała w jej skroniach.

Gdy usłyszała hałas za żywopłotem, podeszła ostrożnie, z mocno bijącym sercem. Ujrzała cień, który przesunął się powoli. Zaczekała na odpowiedni moment, po czym wyskoczyła. Wymierzyła z broni do podejrzanego, rozkazując mu, aby się nie ruszał. Tam jednak stał Montagne i celował do niej.

– No kurwa mać, Anno, co jest grane?! Odbiło ci?! – wydarł się na nią.

Westchnęła i umieściła broń z powrotem w kaburze. Zgięła się wpół i oparła ręce na kolanach, aby złapać oddech.

– Montagne, co ty tu, kurde, robisz? – odparowała.

– A czy ja mogę cię zapytać o to samo? Nie jesteś przecież dzisiaj na służbie!

Montagne był jej przełożonym. Ona była zaledwie drugą zastępczynią komendanta.

– Mam dyżur – wyjaśniła. – Odpowiedziałam tylko na wezwanie centrali.

– A ja już prawie go miałem! – denerwował się wciąż Montagne.

– Już go prawie miałeś? Przyjechałam tu przed tobą. Pod domem był tylko patrol.

– Dotarłem tą uliczką z tyłu. Powinnaś była podać swoją pozycję przez radio. Tak się postępuje w zespole. Przekazuje się informację, a nie odgrywa się nie wiadomo jakich porąbanych bohaterów.

– Byłam akurat sama i nie miałam radia.

– Przecież chyba masz radio w samochodzie, nie? Wkurzasz mnie! I od pierwszego dnia, jak u nas jesteś, wkurzasz dosłownie wszystkich!

Splunął na ziemię, zawrócił i skierował się w stronę budynku. Anna ruszyła za nim. Bendham Road była teraz wypełniona pojazdami policji i karetkami.

– Anna! Montagne! – krzyknął komendant Ron Gulliver, kiedy zobaczył, jak nadchodzą.

– Wymknął się nam, szefie – poskarżył się Montagne. – Zatrzymałbym go, gdyby Anna wszystkiego nie spieprzyła, tak jak zwykle zresztą.

– Odwal się wreszcie ode mnie, Montagne! – wydarła się na niego.

– To ty się odwal! Możesz wracać do domu, to ja prowadzę tę sprawę!

– Nie, ta sprawa jest moja! Byłam na miejscu, zanim ty się zjawiłeś.

– Proszę cię, zrób nam przysługę i znikaj stąd! – krzyknął Montagne.

Anna popatrzyła na Gullivera, szukając u niego wsparcia.

– Szefie... Może pan coś z tym zrobić?

Gulliver nie cierpiał konfliktów.

– Nie jesteś teraz na służbie, Anno – powiedział uspokajającym głosem.

– Ale ja mam przecież dyżur!

– Zostaw tę sprawę Montagne’owi – zakończył spór Gulliver.

Montagne uśmiechnął się triumfująco i poszedł w kierunku budynku, pozostawiając Annę i komendanta samych.

– Ale to jest niesprawiedliwe, szefie! – wściekała się. – I pozwala pan Montagne’owi odzywać się do mnie w taki sposób?

Gulliver nie dawał się jednak przekonać.

– Błagam cię, Anno, nie rób mi tutaj scen – poprosił ją łagodnym tonem. – Wszyscy na nas patrzą. Naprawdę nie jest mi to teraz potrzebne. – Spojrzał na nią z zaciekawieniem i zapytał: – Byłaś na randce?

– Dlaczego pan tak sądzi?

– No bo masz szminkę na ustach.

– Często maluję usta.

– Ale tym razem to coś innego. Wyglądasz, jakbyś miała randkę. Cemu tam nie wrócisz? Zobaczymy się jutro na komendzie.

Gulliver poszedł w kierunku budynku, zostawiając ją samą. Nagle usłyszała czyjś głos, ktoś ją wołał; odwróciła głowę. Był to Michael Bird, redaktor naczelny „Orphea Chronicle”.

– Anno – zwrócił się do niej, podchodząc bliżej – co się tu dzieje?

– Nie będzie żadnych komentarzy z mojej strony, ja niczym się tutaj nie zajmuję.

– Ale wkrótce zapewne już będziesz się zajmować. – Uśmiechnął się do niej.

– A cóż to niby ma oznaczać?

– No bo przecież masz podobno przejąć kierowanie policją w tym mieście! Czy dlatego właśnie pokłóciłaś się z Montagne’em, zastępcą komendanta?

– Nie wiem, o czym ty w ogóle do mnie mówisz, Michael.

– Czyżby? – odpowiedział niby to ze zdziwieniem. – Wszyscy doskonale wiedzą, że to ty jesteś przyszłym szefem tutejszej policji.

Odeszła bez słowa i wróciła do swojego samochodu. Zdjęła kamizelkę kuloodporną, wrzuciła ją na tylne siedzenie i uruchomiła silnik. Mogła wrócić do Café Athena, ale nie miała

na to najmniejszej ochoty. Pojechała więc do siebie i usiadła na ganku przed domem ze szklanką w dłoni i papierosem, by cieszyć się ciepłym wieczorem.

Zainteresowani tym, co będzie dalej?

Pełna wersja książki do kupienia m.in. w księgarniach:

- KSIĘGARNIE ŚWIAT KSIĄŻKI
- EMPIK

Oraz w księgarniach internetowych:

- swiatksiazki.pl
- empik.com
- bonito.pl
- taniaksiążka.pl

Zamów z dostawą do domu lub do paczkomatu – wybierz taką opcję, jaka jest dla Ciebie najwygodniejsza!

Większość naszych książek dostępna jest również **w formie e-booków**.
Znajdziecie je na najpopularniejszych platformach sprzedaży:

- [Virtualo](#)
- [Publio](#)
- [Nexto](#)

Oraz w księgarniach internetowych.

Posłuchajcie również naszych **audiobooków**, zawsze czytanych przez najlepszych polskich lektorów.

Szukajcie ich na portalu [Audioteka](#) lub pozostałych, wyżej wymienionych platformach.

Zapraszamy do księgarni i na stronę wydawnictwoalbatros.com, gdzie prezentujemy wszystkie wydane tytuły i zapowiedzi.

Jeśli chcecie być na bieżąco z naszymi nowościami, śledźcie nas też na [Facebooku](#) i na [Instagramie](#).